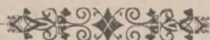


WIECZORY RODZANNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Zakład kąpielowy St. Moritz.

Zakład kąpielowy St. Moritz.

W południowo-zachodniej Szwajcaryi, nad rzeką Innem, jest piękna dolina, zwana Engadiną. Tam leży wioska St. Moritz, słynna ze swych wód leczniczych, do których co rok mnóstwo osób jeździ z całej Europy. Zakład kąpielowy, przedstawiony na naszej rycinie, urządzony jest w po-

bliżu rozkosznego jeziora, dokoła otaczają go lasy iglaste, drzew liściastych niema tu wcale, tylko sosny, modrzewie i świerki. Dalej roztacza się wspaniały widok na szczyty alpejskie. Cała okolica jest niezmiernie malownicza i piękna, to też zakład w St. Moritz, nie tylko przez chorych, potrzebujących kąpeli, ale i przez zwyczajnych turystów licznie bywa zwiedzany.

MODLITWY.

I.

Gdy z ciemnej szaty
Ranek zabieli,
A ziółka, kwiaty,
Wstaną z pościeli;
Poranną zorzą
Skapią się rosą,
Listki roztworzą,
Główki podniosą,
I znów je skłonia;
Lecz wnet do góry
Gdy świeżą wonia
Strzelą w lazury,
A tchnienie woni,
Niby gonitwa,
Z wiatrem pogoni:
To ich modlitwa!

II.

Gdy dzień w rozświcie
Złotawo-błady
Tchnie ptaszkom życie,
Zbudzi owady;
I w krąg powietrze
Z ziem pod niebiosa
Zmiesza się, zetrze,
Z ptasiami głosy;
Ów śpiew, dźwięk tonów,
Te śpiewne bitwy
Arf milionów:
To ich modlitwy!

III.

Gdy ranne zorze
Świat dniem obleka,
I cichnie morze,
Jezioro, rzeka,
Wiatr się oddala,
A w taką ciszę
Żadna się fala
Nie zakolysze —
I w wody łonie,
Pod jej ukryciem,
Wszelki głos tonie,
Nic nie drga życiem,
Żadne pluśnienie,
Wiosła, rybitwy —
Takie milczenie:
To wód modlitwy!

IV.

Gdy świt rozlewa
Światło dokoła,
Gdy cichną drzewa
I milkną zioła,
A w całym borze
Spokojem wieje,
Drzemie przestworze
I drzemią knieje;
Tylko wśród liści
Kropelka rosy
Cicho szeleści,
Lecąc w niebiosa,
Lub też maleńka,
Srebrzysta witwa
Szemrząc przykłęka:
To drzew modlitwa!

Rozalia D.

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Ale pomimo przychylności obcych ludzi, obie siostry spoglądały na siebie ukradkiem, drżąc za każdym drzwiami otwarciem, Oleś nie pokazał się przez całe święta. Po świętach, gdy siostry już postanowiły dowiedzieć się o niego, czy nie zasłabł przypadkiem, on przyszedł nareszcie. Przyszedł bardzo serdeczny, serdeczniejszy niż kiedykolwiek dawniej. Bo dzieci malarza kochały się wzajemnie bez powierzchownych oznak wielkich; przeciwnie,

przy stole radnym częściej się tam niby kłócono w parlamentarnych zajściach, niż pieszczono kiedykolwiek.

Więc teraz wielka serdeczność Olesia nie ucieszyła wcale Aneczki, bo była nienaturalną. Oleś wstydił się widać za przykre owo z nią obejście, ale nie przeprosił już otwarcie, jak to dawniej u nich we zwyczaju bywało, tylko chciał grzecznie i po światowemu komplementami, pocałunkami, i paczką cukierków, sprawę załatwić. Bawił krótko, a i tak Aneczka odetchnęła, gdy odszedł, tak jej ciężką była jego serdeczność udana. Cukierki schowała, dając po troszkę swoim wychowankom, bo pewna była, że jejby w gardle stanęły takie cukierki, gdyby ich chciała skosztować. Ale i bez tego uczuła, że ją coś dławi, gdy rozwinawszy paczkę z pieniędzmi, przyniesionymi przez Olesia, znalazła rubli czternaście. Wiedząc, że Oleś nie mógł tak wiele zarobić, zwłaszcza przez święta, przestraszyła się, myśląc, na jaki tam nowy koncept wpadł Oleś, aby tyle zarobić. Pod wrażeniem tego przestachu, nie mogąc natychmiast widzieć się z bratem, napisała do niego, zaklinając go, aby nocami po wieczorach tańczących nie grywał, gdyż młode siły zniszczy pracą taką nadmierną, a inaczej nie mógł przecież tyle zebrać.

Na ten liścik Oleś odpowiedział także liścikiem, dowcipkując grzecznie, a sens był taki, aby najdroższa siostrzyczka uspokoiła się w macierzyńskiej o jego zdrowie trosce, bo on nie „nocami po wieczorach”, tylko wieczorami po zakładach kawiarnianych grywa, a mianowicie w jednym takim zakładzie obok sklepu, gdzie to już raz przypadkiem w ogródku grał przed kilku laty, bo w zakładzie tym, bardzo porządnym, piwo i przedstawienia teatralne bywają latem w ogródku, a w zimie kawa i przedstawienia w „sali”.

Po przeczytaniu takiej dowcipnej epistoły, Aneczka trząść się zaczęła ze strachu, jak w febrze. Aby się z niej nie śmiać, trzeba wiedzieć, że malarz, nie wiedząc o tem, i niechcący prawie, jedynie tylko własnym swoim postępowaniem zaszczerpił w swych dzieciach głęboki wstręt do wszelkich piwiarni, winiarni, kawiarni, i tym podobnych miejsc zabijania czasu, pod pozorem chwilowego posiłku lub ochłody. Nie dowodził on wcale, aby uczęszczać do tych miejsc było źle, ale sam do nich nigdy nie chodził. Tłómaczył się zaś przed znajomymi z tego zwyczaju, na swój sposób, tem, że w winiarni czy piwiarni zagadawszy się, wypić może człowiek mimowoli czegokolwiek, więcę niż trzeba i niż zdrowie pozwala. Potem, spostrzegłszy się, choć nie zasłabnie, to się przecież zawsze rozgniewa za to człowiek na siebie, a skutkiem takiego gniewu na siebie bywa zły humor, objawiający

się za powrotem do domu. A zły humor to przyczyna trzech czwartych wszystkich nieszczęść na świecie. Tak myślał i mówił malarz i przyczyn wyrabiających zły humor strzegł się, jak ognia.

Nic tedy dziwnego, że wychowane po jego myśli dzieci, obawiając się tak, jak i on, owego smoka złego humoru, przywykli uważać między innymi i wyżej wymienione miejsca zabawy ludowej za coś bardzo złego, niby za legowiska tego smoka. I dla tego to Aneczka trząść się ze strachu zaczęła, dowiedziawszy się, że brat jej w takie legowisko dał się zaciągnąć. Bo ona nie wątpiła już teraz, że nic innego, jak tylko złe towarzystwo, przed którym ich ojciec dawniej ostrzegał, odmieniło teraz Olesia, jak czarami. Ani się namyślając, ani dobierając wyrazów, napisała więc do brata po raz drugi przez miejską pocztę, wypowiadając mu bezładnie ale gorąco wszystko, co miała na duszy i prosząc, aby brat ją przyszedł jak najprędzej odwiedzić, bo zdawało jej się, że ustnemi prośbami więcej na nim wymódcz potrafi. Wysławszy list, oczekiwała brata niecierpliwie.

List tymczasem najspokojniej dostał się w ręce listonosza, który też oddał go Olesiovi w sklepie, gdzie w tej chwili ani samego kupca, ani gości ważniejszych jakoś nie było.

— Patrzejcie-go, ten ci liścik za liścikiem odbiera! jaki *literat*, fu fu! — mruknął jeden z chłopaków sklepowych, wysoki, chudy, nędzny, trochę obdarty i daleko starszy od Olesia, jeden z tych, którzy to się każdego młodszego a porządnego chłopca lubią czepiać, i zaprzyjaźniać się z nim, aby od niego pieniądze wydurzać. I patrzył ten chłopak niespokojnie na Olesia, czytającego swój list, bo Oleś mienił się na twarzy. A wtém wszedł do sklepu jakiś gość poważniejszy, więc Oleś, wsunąwszy list do kieszeni, pobiegł do przybyłego, ważyć cukier, podawać herbatę i wino. Gdy on się tęp zajmował, tymczasem chudy chłopiec skinął na trzech swoich kolegów, próżnujących jak i on, i wskazawszy im palcem rozek listu, wyglądający z Olesiovej kieszeni, ku wielkiej ich uciechę, w ich oczach list ten z ręcznie a skrycie wyciągnął. Po czém wszyscy czterej ci urwisy wypadli do sklepu za sklepem, gdzie blady chłopiec, wlaższy na beczkę, głośno czytać zaczął. Tylko proszę, nie posądźcie mnie o przesadę umyślną w złém, dla tego że wam opowiadam o takich brzydkich czynach, jak wykradanie cudzych listów i czytanie ich. Chłopcy tacy, jak ów blady urwis, znajdują się na świecie, choć nie często na szczęście, i przed takimi to właśnie dobrzy rodzice chronią dzieci swoje, obawiając się dla nich takiego towarzystwa, jak ognia. Każdy chłopak źle wychowany może się stać takim niebezpiecznym dla porządných chło-

pów urwisem. Jemu ani przez myśl nie przeszło, że nie powinien tego robić, choć dobrze wiedział, że źle robi; rozwinął list i czytał głośno:

„Mój najdroższy Olesiu! na miłość Boską proszę cię, przestań się wdawać z tym, z kim się od czterech miesięcy wdawać zacząłeś, bo ja czuję i pewną jestem tak, jakbym na to patrzyła, że jest ktoś taki, i że to on cię na złe drogi prowadzi”. W tęp miejscu chłopak urwał nagle czytanie, a trzej słuchacze wybuchnęli śmiechem:

— A to rychtyk o tobie, Antek, stoi w tęp liście, ha ha ha! — wołali chłopaki, śmiejąc się z trochę skonfundowanej miny Antka; ale on rozśmiał się także co prędzej na całe gardło:

— To pewno jego mama pisze, coby go chciała całe życie na uwięzi trzymać, jak dziecko, więc zła na mnie, że go cygara uczę, i tęp podobnych rzeczy, żeby był człowiekiem; one wszystkie takie — rzekł Antek seryo, i czytał dalej w obec trzech malców, którzy spojrzeli z uszanowaniem na niego, uwierzywszy zaraz, że on jest taki mądry i umie zrobić z dziecka człowieka za pomocą cygara...

„Nie daję ci żadnych nauk, mój Olesiu, bo nie mam prawa do tego, ale błagam cię, przypomnij sobie wszystko, co ci ojciec mówił dawniej, gdyś już raz tak samo porzucił naukę i przejmował obyczaj, w jakich cię nie wychowano, przypomnij to sobie i przyjdź do mnie, przyjdź na jedną chwilkę, powiedz, że się nie gniewasz na siostrę Aneczkę”.

— Jak ty śmiesz cudze listy czytać?! Antek, oddawaj mój list, rozumiesz! — zakrzyczał nagle Oleś, wpadając ze sklepu do składki i w szalonym gniewie rzucając się na Antka. Ale Antek przeskoczył długimi nogami z beczki, na której stał, w tył na drugą jeszcze wyższą olbrzymią beczkę i na tęp wale, za temi barykadami, gdy Oleś rwał się do niego, on tymczasem przedrzeźniał wyrazy listu, wywracając oczyma, kładąc rękę na sercu i wyciągając ramiona, jak do uścisku:

— Najdroższy Olesiu! braciszku mój najmilszy! proszę cię! upraszam cię! nie wdawaj się z tęp nicponiem Antkiem, który z ciębie człowieka chce zrobić, bo zobaczysz, że on ciębie zje, i będziesz miał kuku! zobaczysz!

Antek chciał dalej wydrwiwać wśród śmiechu słuchaczy, gdy Oleś, nieprzytomny prawie z gniewu, wdarł się jak kot na beczki i chwyciwszy dużego chłopca obiema rękami za gardło, stoczył się wraz z nim z wielkim hukiem z wysokich beczek na ziemię i tarzając się i bijąc, wydierał list większemu od siebie, ale słabszemu chłopakowi. Abyście pojąć mogli, w jakim nieludzkim gniewie szarpał się tak Oleś, to pomyślcie proszę, czy znacie chłopca, któryby gniewem nie zawrzał, gdyby ktoś wyśmiewał się z jego siostry albo matki? ja wam

zareczam, że takiego chłopca niema, i być nie może. Tak już Bóg dał.

— Co to jest?! precz mi zaraz! do roboty! — krzyknął wchodzący kupiec i chwyciwszy Antka za kark, oderwał go od Olesia i rzucił w kąt izby. Kawalki listu leżały na ziemi. Oleś z garścią włosów Antkowych w ręce, stał chwilę, dysząc, przed kupcem, aż nagle zawrócił się i pędem pobiegł do izdebki na strychu, gdzie chłopcy sypiali. Zamknął drzwi na klucz i chwyciwszy pióro i papier napisał jednym zamachem list taki: „Proszę uwolnić mię od korespondencyi i od opieki, któremi na śmiech i drwiny mię narażasz. Przed ojcem niech każdy za siebie odpowie”.

Odebrawszy taki list, Aneczka już nie płakała; tylko ukląkłszy modlić się chciała, ale się i modlić nie mogła; pokłęczawszy więc tak, Bóg wie jak długo, bez myśli, jakby skamieniała z żalu, wstała i zmieniona, jak po chorobie, zabrała się do codziennych swych obowiązków. Gdyby nie Kasia, dodająca jej ducha, byłaby wtedy Aneczka z pewnością przypłaciła chorobą to, co sama nazywała skutkami swojej własnej winy, to jest swego niewytrwania na stanowisku, jakie powierzyła jej matka.

Przez parę tygodni czekając napróżno, czy Oleś nie przyjdzie, postanowiły siostry dowiedzieć się o niego u kupca. Poszły obie, nie przez sklep, ale bocznemi drzwiami, kryjąc się i bojąc, a same nie wiedząc czego. Kupiec przyjął je grzecznie i wesoło, powiedział, że Oleś jest chłopak chwał, chociaż szkoda, że się z lotrem przyjaźni, który już ze sklepu wygnany został, a mimo to jeszcze Olesia na bilardy, karty, cygara, i różne bałamuctwa wyciąga:

— *Aber* to nic, *schadet nichts*, wyszumi się młode piwo, i będzie wszystko *gantz gut* — zapewnił w końcu kupiec, a tymczasem kupcowa zapraszała dziewczęta na kawę. Miał przyjść i Oleś. Siostry spojrzały wzajem na siebie, i zostały. Wypytując się o Olesia, robiły to niby w charakterze starszych sióstr, troskliwych o sprawowanie brata, ale nie wspomniały o tém, że go nie widziały oddawna, i że teraz ze drżeniem oczekiwały na niego, nie wiedząc właściwie, o co mu chodzi, czy się chwilowo rozgniewał, a teraz wydąsawszy się przyjmie je po dawnemu, czy też... Nie bardzo wiedziały, co o tém myśleć, bo trudno przecież było przypuścić, żeby on chciał z niemi zerwać stosunki wszelkie. A wstyd było i wspominać obcym o nieporozumieniach z bratem.

Właśnie Aneczka brała sucharek z talerza podawanego przez kupcową, gdy drzwi otworzyły się i Oleś wszedł. Wszedł, stanął jak wryty, zbladł, zaczerwienił się znowu, jakby od wewnętrznej wal-

ki, i nagle odwróciwszy się uciekł z pokoju. Sucharek wypadł Aneczce z ręki, i dwie siostry już na ulicy czwartej czy piątej, koło mieszkania Aneczki dopiero oprzytomniały o tyle, że zdołały spojrzeć sobie w oczy i rozplakać się...

— Ha ha ha! Dzieci musiały *sobie* pokłócić: *schadet nichts*; nie kłaść palca między drzwi; jak *sobie* pokłócili tak *sobie* odkłóca, i będzie wszystko *gantz gut*. — Powiedział kupiec, gdy siostry odbiegły, zapomniawszy kawy dopić i gospodarzy pożegnać.

Wszedłszy do swego pokoju, Aneczka zastała tam czekającego na nią Kazia, nie widzianego oddawna, a ten, zamiast przynieść pieniądze, jak zawsze, prosił siostry, aby mu trochę z jego dawnych oszczędności pożyczyla. Był blade i mizerny. Po długich wybadywaniach pokazało się, że podjąwszy się lekcy za dużo, nie mógł im teraz wydołać, a co gorsza, nawet własna jego nauka i promocyja mogły na zbytniej tej gorliwości ucierpieć. Profesorowie zaczęli się krzywić; najlepsze lekeye utracił od świąt, utracił i tę, za którą miał mieszkanie; więc w środku roku, i nie mając czasu szukać czego innego, trzeba było teraz lada jaki kąt za gotowe pieniądze wynająć... W dodatku, owa gwałtowna, nienaturalna żądza pracy bez miary, w celach zysku, jak gwałtownie zawrzała, tak i wyczerpała się widać prędko u Kazia, i przygasała wraz z wysilonemi siłami, bo zniechęcenie wiało z każdego słówka czternastoletniego chłopczyzny. Na nieszczęście pokazało się z rozmowy, że Kazio niepowodzenia swego nie przypisywał właściwej przyczynie, lecz wmówił w siebie brak zdolności, i tém przekonaniem do reszty ducha sobie osłabiał. Daremnie znekana siostra usiłowała mu tłumaczyć, że to nie zdolności, tylko nadwężone siły jego gasną. On kiwnął głową, jakby mówiąc: „mniej o to”, wziął pieniądze i poszedł. W parę tygodni później oznajmiono Aneczce, że ktoś chce się z nią widzieć. Daremnie Aneczka i pani domu wypytywały sługę, ktoby to był, ona nie umiała odpowiedzieć, zapewniając tylko, że to nie był ani pan, ani służący, ani chłop, ani żyd, ani żaden rzemieślnik.

— Ależ to coś ciekawego! prosić go! — rozkazała pani. I wszedł wysoki, cienki, blade chłopak; głowę zadzierał, oczy przymrużał, ustami niby uśmiechając się kręcił, ręce w kieszenie kładł, i nogami szastał przytupując, miał eleganckie ubranie, choć każda sztuka była inną miary i nie na niego robiona. Jednym słowem, wszedł *Antek*, wystrojony za pieniądze Olesia, z którym mimo wszystkiego umiał przyjaźń utrzymać. Wszedł, i dowiedziawszy się, która z dwóch pań jest siostrą pana Aleksandra, oddał Aneczce litografowany

bilet wizytowy Olesia, jakich żadne z dzieci malarza nigdy dotąd nie potrzebowało; a i widziało je tylko u ojca w stoliku, gdzie kilka ich spoczywało od lat dwudziestu kilku, to jest odkąd były kupione. Na bilecie dopisano ręką Olesia te słowa: „Przyciśnięty gwałtowną potrzebą, proszę o zwrócenie mi przez oddawcę moich pieniędzy, tymczasowo złożonych u siostry”.

— Przyciśnięty gwałtowną potrzebą!? co to znaczy? czy Oleś nie chory?! — krzyknęła Aneczka i chwyciwszy pugilares z komódki, a owinąwszy się wielką chustką od stóp do głowy dodała: — chodźmy! — i biegła... Ale Antek wytrzeszczył aż oczy, nie rozumiejąc, co ona robi, i nie prędko byliby się porozumieli, gdyby się pani domu w rozmowę nie wdała, zatrzymawszy przedewszystkiem biegnącą na oslep Aneczkę. Dowiedziawszy się, że Oleś z pewnością nie jest chory, tylko pieniędzy koniecznie natychmiast potrzebuje, Aneczka otworzyła pugilares, wyjmując z niego sporą paczkę banknotów, wszystko, co Oleś przez blisko rok zacieklej pracy uzbierał, i chciała dać to Antkowi, który z błyszczącymi oczami już rękę po papierki wyciągnął, gdy pan domu, wszedłszy szybko z drugiego pokoju, szepnął żonie do ucha: — A nie dajże dziewczynie wyrzucać pieniędzy — więc pani chwyciła Aneczkę za rękę, ale po kobiecemu rzekła do męża:

— A nuż tamten nieszczęśliwy chłopiec naprawdę potrzebuje pieniędzy?

— To niech zapracuje, jak wprzód pracował, wszak jest u kupca.

— A nuż się wdał w co złego? — rzekła pani z cicha.

— Może i jego kupiec odprawił, jak tamtego — szepnęła Aneczka — a może tylko... głodny... — dodała jeszcze ciszej i lzy strumieniem polały jej się po twarzy. Pan domu ruszył ramionami:

— Gdyby był głodny, toby nie miał takich przyjaciół — rzekł wskazując na Antka, i obróciwszy się do tego ostatniego, powiedział stanowczo:

— Czy Oleś jest jeszcze u kupca, u którego był dotąd? a gdzie i pan podobno byłeś?

— Jest, juźci... jest — odrzekł Antek, zaprzestawszy nagle wszystkich min z jakimi wszedł, i prawą ręką zaczął sobie palce ze stawów wyciągać, aż trzeszczały gniotąc pod pachą kapelusz.

— To za pół godziny w sklepie odbierze swoje pieniądze; tylko proszę, niech przygotuje pokwitowanie. Żegnam — rzekł pan; a Antek otworzył usta raz i drugi, ale spojrzawszy panu w oczy, zamknął usta, a drzwi otworzył, i wyszedł prędko, zatrzasnąwszy tylko temi drzwiami za sobą na pociechę.

Pan zawołał służącą, odliczył jej do rąk pie-

niądze dane przez Aneczkę z pugilaresu, kazał odnieść je wraz z przygotowanym listem wiadomemu kupcowi, który zawsze w owej porze dnia w sklepie swym siedział, i zaczekać na odpowiedź. Służąca poszła, i przyniosła za powrotem pokwitowanie od Olesia, któremu kupiec sam w sklepie w obec niej pieniądze oddał, coś długo doń gadając i grożąc na nosie surowo. W liście, który służąca także przyniosła, kupiec odpisał po swojemu na zapytania Aneczki, „że wprawdzie Oleś się zaczął bisurmanić, łotrować i lampartować” trochę za bardzo, jak na takiego smarkacza, ale że przyciśnięty wszystkiemi z gruntu dobry chłopak jest i czerwieni się cały mówiąc o siostrach i rodzicach, więc *szadet nicht* i wszystko będzie *gantz gut*.

— Był tu ten wasz głodny, nieszczęśliwy Oleś? — spytał żony pan domu, wchodząc nazajutrz do mieszkania.

— Nie, nie był... — odrzekła pani zdziwiona, gdyż nie rozumiała co znaczyło takie niespodziane pytanie. A Aneczka wbiegła szybko, dosłyszawszy tej rozmowy z drugiego pokoju.

— A więc chciał widać przyjść do siostry, ale go łotr przyjaciół, ten sam, który tu wczoraj był, odciągnął. Spotkałem ich tu certujących się przed domem, lecz oba odeszli prędko, jakby uciekając przedemną. Ało za to idzie tu drugi braciszek panny Anny.

Tak mówił pan, przechodząc do swego pokoju, a tymczasem Kazio istotnie wszedł. Mizerny, nieśmiały, jakim nigdy wprzód żadne z dzieci malarza nie było. Stawał przy drzwiach, nie śmiejąc nawet wejść dalej tak, że aż pani domu umyślnie wyszła z pokoju, zostawiając go z siostrą, bo żał ją zdjął, patrząc na znękaną dziewczynę, choć niedawno je znała. Cóż dopiero musiało się dziać z Aneczką, która pamiętała dawnego Lelewela w Napoleońskiej butno-poważnej postawie. Kazio wiedział już, że promocyi nie dostanie; on, najzdolniejszy i najlepszy dawniej uczeń w całej klasie! Pewność ta i niemożność zmienienia jej, bo każdemu uczniowi wiadomo, że przy końcu roku, żebyś na głowie stawał, nie odmienisz tego, co się już stało i zapisało z początku, demoralizowała Kazia ostatecznie. Nie tylko korepetycyi dawać, nie tylko pomieszczenia sobie za korepetycyę szukać, ale nawet uczyć się samemu odechciało mu się zupełnie. To też korepetycyę stracił wszystkie, mieszkając u kolegi, i po pieniądze na życie przychodził znów do owego pugilaresu starego, który jak niezmiernie prędko zgrubiał w trzech kwartałach, tak teraz w czwartym na gwałt chudł znowu niespodzianie.

LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Kochana siostrzyczko! Tyle dziś rzeczy mam do opowiadania, że nie wiem naprawdę, jak to wszystko w jednym liście pomieścić. Ba. cóż robić, list będzie trochę dłuższy; redakcja naszego Pisemka musi mi na ten raz trochę więcej miejsca ustąpić, a spodziewam się, że czytelnicy nie będą się o to gniewali, bo chociaż ty, siostrzyczko, nieraz ku wielkiemu zawstydzeniu mojemu nazywałaś moje listy nudnemi, innego zdania są obce panienki, czytujące je w Wieczorach Rodzinnych. Już kilka razy pisano do redakcyi z różnych stron świata, i z Wilna, i z Płocka, i z Berdyczowa, (a zawsze pisały panienki), że listy moje niezmiernie są zajmujące; dopytywano się nawet, kto to jest ten Kazio, proszono, ażeby pisywał jaknajczęściej. Widzisz, widzisz, siostruniu, pokazuje się, że ty jedna tylko nie poznałaś się na mnie, obcy byli sprawiedliwsi; tak to zawsze bywa, nikt nie jest prorokiem pomiędzy swoimi.

Ale dość już tego, bo ty jesteś złośliwa, gotowaś powiedzieć, że nieładnie samemu się chwalić, a ja... będą musiał ci słuszość przyznać. Nie traćmyż więc czasu na próżną gadaninę, przystępuję do rzeczy.

W zeszłym miesiącu urządzono u nas w Warszawie odczyty na rzecz kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego. Ale ty może nie wiesz nic o tej kasie, więc najpierw muszę ci to w kilku słowach wytłómaczyć. Pan Józef Mianowski był to zacny bardzo doktor medycyny i profesor, najpierw wileńskiego, a następnie petersburskiego uniwersytetu, szanowano go i kochano powszechnie, więc gdy życie zakończył, na uczczenie pamięci jego, urządzono rodzaj stowarzyszenia; każdy członek składa co rok pewną niewielką kwotę pieniężną do kasy wspólnej, noszącej imię Mianowskiego. Fundusze tym sposobem zebrane służą na różne cele naukowe. Oto między innymi z tych funduszków łożono na wydanie wybornych książeczek pod tyt: *Biblioteka matematyczno-fizyczna*, którą nasze Pisemko ogłasza w każdym prawie N-rze; ja zaś w dawniejszym liście gorąco to dziełko polecałem wszystkim naszym czytelnikom.

Otóż, jak powiedziałem, na powiększenie funduszków tej kasy, urządzono szereg odczytów publicznych. Zajęli się tym redaktorowie Pisma przyrodniczego, wychodzącego w Warszawie pod tytułem *Wszechświat*. Piękne to bardzo Pismo, pełne wiadomości naukowych, wyłożonych tak przystę-

pnie, że ja sam często z prawdziwą przyjemnością słucham, gdy wujaszek czyta głośno wieczorem różne artykuły z *Wszechświata*. To też z wielkim zdziwieniem dowiedziałem się z noworocznego ogłoszenia tego Pisma, że ma dotąd za mało prenumeratorów, aby mogło utrzymać się długo. Byłaby to szkoda nieodżałowana, gdyby miało naprawdę przestać wychodzić i mam nadzieję, że do tego nie przyjdzie. Więc przy tej sposobności proszę cię, siostrzyczko, namawiaj ojca, stryjaszka i wszystkich sąsiadów, aby zaprenumerowali sobie *Wszechświat*, a z pewnością tego nie pożałują, bo całym domem czytać je będą mogli, i starsi, i młodzież dorastająca, a wszyscy niemało z tego skorzystają i dużo ciekawych rzeczy się nauczą.

Ale wracam do odczytów. Jak tylko się dowiedziałem, że będą się odbywały w godzinach wieczornych, gdy mam już czas swobodny po lekcjach, zaraz sobie postanowiłem chodzić na nie regularnie. Chciałem więc po studencku pójść na galerię, aż tu odbieram od redakcyi *Wszechświata* bilet wejścia na wszystkie odczyty, na miejsce wygodne w jednym z najbliższych rzędów, krzesel, a to jako sprawozdawca *Wieczorów Rodzinnych*. Widać, że redakcja wcale nieźle ma wyobrażenie o czytelnikach naszego Pisemka, a radbym, aby się nie omyliła i aby sprawozdanie o tych pięknych odczytach zajęło wszystkich tak samo, jak mnie zajęły odczyty.

Najpierw mówił dr. Jędrzejewicz „O przejściu planety Wenery przez tarczę słoneczną”. Pan Jędrzejewicz jest lekarzem, ale obok medycyny zajmuje się także astronomią i meteorologią, a w Płońsku, miejscu swego zamieszkania, urządził własnem staraniem obserwatorium meteorologiczne. Nie potrzebuję tłumaczyć, co to jest takie obserwatorium, bo czytelnicy *Wieczorów* czytali o tém w ostatnim N-rze Pisma.

Wiem, siostrzyczko, że uczysz się już kosmografii i rozumiesz, jakim sposobem wszystkie planety krążą naokoło słońca. Każda ma swoją drogę osobną i nie zawadza drugim. Wiesz także zapewne, iż przejście Wenery przez tarczę słoneczną, to wcale nie znaczy, aby ta planeta naprawdę zbliżyć się miała do słońca i przesuwac się po jego powierzchni. Gdyby jęj się to wydarzyło, spłonęłaby niezawodnie, jak zapalka i byłoby po niej. Ale zdarza się czasem, dwa razy tylko w ciągu całego stulecia, że Wenera w swoim obiegu przechodzi przez linię prostą, którąbyśmy przeciągnęli pomiędzy ziemią i słońcem. Ba! zrozumiałabyś to odrazu, gdybyś była na odczycie i widziała malutką kuleczkę, zawieszoną przed białym okrągłym ekranem, oddaloną jednak od niego i przesuwającą się zupełnie, jak Wenera przed

tarczą słoneczną. Wyobraźmy sobie lampę, wiszącą u sufitu po środku pokoju. Lampa ta ukaże się nam, dajmy na to, na szybie okna, gdy stanimy przy drzwiach pokoju. Odejdźmy w bok, ona się na drugą szybę przesunie, odejdźmy dalej, a przesunie się nawet na drugie okno. Gdyby dwie osoby patrzyły jednocześnie z dwóch punktów pokoju, jedna mogłaby widzieć lampę na jednym oknie, druga na drugim. Otóż jeżeli dwóch astronomów będzie patrzyło w tej samej chwili na Wenerę, przesuwaną się przez tarczę słoneczną, ale jeden będzie w Europie, drugi w Azji, to nie ujrzą jej w tym samym punkcie. Gdy dla jednego ukaże się przy samym brzegu tarczy słonecznej, dla drugiego przesunie się już troszeczkę dalej. Otóż z tej różnicy astronomowie umieją odmierzyć odległość słońca od ziemi. Jakim sposobem oni to robią, tego nie podejmuję się ciebie nauczyć, ale możesz być pewna, że tak jest. Piękna to rzecz astronomia, nieprawdaż?

Mówił potem p. Jędrzejewicz, jak to ta rzecz piękna jest zarazem i pożyteczną bardzo, bo z tej nauki o gwiazdach korzystają żeglarze i kierują statki swoje na morzu według położenia ciał niebieskich. Ale o tym zajmującym odczycie można by napisać całą pogadankę naukową, w naszym Pisemku, a i każdy z następnych przydałby się do tego. Było ich jeszcze sześć, i te wszystkie miały za przedmiot żelazo. Zdziwisz się może, siostrzyczko, iż o jednym przedmiocie mówiono aż sześć razy, tymczasem o żelazie można by opowiadać bez końca, księgi o niem pisać, a jeszczeby się nie powiedziało wszystkiego.

Nie będę tu przytaczał treści każdego odczytu z osobna, powiem tylko, że wszystkie były z doświadczeniami, i to bardzo ładnymi i ciekawymi. Pan Milicer opowiadał, w jakich to rozmaitych postaciach żelazo znajduwane bywa w przyrodzie, a przytém okazywał słuchaczom rudy wszelkiego rodzaju i przedstawiał, za pomocą doświadczeń, jakim sposobem odbywają się różne działania chemiczne. Na drugim odczycie p. Znatowicz, jeden z redaktorów *Wszechświata*, wykonywał przesłizne doświadczenia i opowiadał o związkach żelaza. Gdzież bo tego żelaza niema! w skałach rozmaitych, w minerałach, wcale do metalu niepodobnych, a nakoniec w tkankach zwierząt i roślin, nawet i w ciele człowieka. Już kiedyś w roku zeszłym, przypominam sobie, pisano o tém w *Wieczorach Rodzinnych*, a ty się dziwiłaś, siostrzyczko, słysząc, że żelazo tak jest potrzebne dla zdrowia człowieka i że je wszyscy zajadamy, nie wiedząc często o tém wcale.

Ciekawe były także następne odczyty; p. Pełowski tłumaczył, jakim sposobem otrzymuje się

z rud żelazo, a p. Wojno opowiadał o żelazie kuteń i stali. Były przytém na dużych tablicach przedstawione piece hutnicze, to też wszystkie objaśnienia łatwo można było zrozumieć. Pan Kramsztyk mówił o aerolitach, gwiazdach spadających, a trzeba wiedzieć, że jest w nich zwykle dużo żelaza, niektóre nawet z czystego żelaza są złożone. Ztąd wnosić możemy, że nietylko u nas na ziemi, ale i na wszystkich ciałach niebieskich, gwiazdach, planetach, wszędzie jednym słowem pełno jest żelaza.

P. Dziewulski, także redaktor *Wszechświata*, wykladał o własnościach magnetycznych żelaza. Muszę ci się przyznać, siostrzyczko, że chociaż wszystkie odczyty były zajmujące, ten jednak mi się najwięcej podobał. Nie potrafiłbym go powtórzyć ani streścić, nie potrafię nawet wytłómaczyć się z tego, co mianowicie mię tak zachwycało w tym odczycie; po części przedmiot, a po części i piękna wymowa, bo p. Dziewulski tak mówił, że mi się ciągle przypominała historia Demostenesa i myślałem sobie w duszy: gdyby to miało co pomódz, tobym chętnie trzymał godzinami w ustach kamyki, jak to robił Demostenes, ba! gryzłbym je nawet ażeby tak płynnie i pięknie mówić, jak pan Dziewulski.

Tymczasem słuchałem i ze wszystkiego, co mi pozostało w pamięci, muszę ci przecież choć cośkolwiek powiedzieć. Mowa tam była głównie o energii. Zapytasz może, co to jest energia? Uczni ludzie tak nazywają siłę, potęgę raczej, która się objawia w całym świecie, jako ruch, ciepło, światło, elektryczność; energia ta przemieniać się może, z ruchu naprzykład wytwarza się ciepło, z ciepła ruch, ale nigdy najdrobniejsza cząstka tej energii nie ginie, chociaż może być utajona, może się nagromadzać przez czas długi, aby potem dopiero się objawić.

I o ludziach mówi się także, iż są energiczni, jeśli umieją użyć tak, jak należy, sił swojego ducha, charakteru, umysłu. Z tego, co mówił p. Dziewulski, zrozumiałem, że i młodzież także, ucząc się, nabywając wiadomości, gromadzi zapasy energii na przyszłość. Ta energia, dziś jeszcze utajona, później powinna się objawić czynami.

Ale zaczynam podobno prawić morały, a to przecież nie moja rzecz, od tego są inni, starsi autorowie w naszej redakcyi. Muszę też pośpieszać z resztą opowiadania, bo widzę, że list mój przekroczył już zwykłą miarę, oby tylko nie przebrał miary cierpliwości czytelników. Nie mogę jednak zamilczeć o rzeczy nadzwyczaj ciekawej, o machinie mówiącej, którą pokazywano w tej samej sali ratuszowej, gdzie się odbywały odczyty i na ten sam cel, to jest na powiększenie funduszów kasy Mianowskiego.

Są gadające papugi, szpaki, kosy, ale żeby maszynka drewniana mogła wydać dźwięki, podobne do mowy ludzkiej, to naprawdę trudne do uwierzenia. A jednak słyszałem to na własne uszy, a pan Dziewulski tłumaczył nawet bardzo zrozumiale, jakim sposobem to się dzieje.

Każdy głos, dźwięk każdy, powstaje w skutek drgań, które się w powietrzu rozchodzą. Gdy uderzymy dzwon, szklanekę, jakikolwiek przedmiot podobny, wprawiamy go w drganie regularne, jednostajne, a takie wywołuje głos dźwięczny. Tomy muzycznych narzędzi, śpiew, mowa ludzka, wszystko to są drgania pewnego rodzaju, łatwo więc pojąć, że jednakowe drgania, jednakowy dźwięk wydadzą. Nie będę się nad tём rozwodził, tём bardziej, że, jak mi wiadomo, w Wieczorach Rodzinnych ma być o tём niezadługo osobna pogadanka naukowa. Co do maszyny mówiącej, p. Faber, jój wynalazca, usiłował nadzwyczaj dowcipnym sposobem naśladować przyrząd głosowy człowieka. Więc są tam różne fujarki, różne części z kauczuku zrobione, a naśladowujące czynności języka, podniebienia, przy wymawianiu głosek. Wszystko to, wprawione w ruch za pomocą pedałów, warczy dość wprawdzie nieprzyjemnie i śmiesznie, ale naprawdę naśladowuje każdą prawie głoskę i nawet całe wyrazy, jak: Marya, Warszawa, rura i. t. d. Przypomina też to bardzo głos głuchoniemych, którzy mechanicznym sposobem uczą się wymawiać wyrazy, rozumieją, co mówią, ale nie słyszą tego wcale.

Ale teraz kończę już długi ten list i przesyłam ci, siostrzyczko kochana, serdeczne uściśnienie.

Twój przywiązany brat

Kazio.

Koniki.

Do lasu po siano jechały koniki,
A lis im się dziwił, podstępny i dziki,
Że ciężko pracują w upały nużące,
Gdy strawa gotowa na każdej jest łące.
— To trzeba być koniem—rzekł—by mieć ochotę,
Na taką bez żadnej potrzeby robotę.
A na to odrzekły spokojnie koniki:
— My zimą, nie liczym na cudze kurniki...

Azet.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

(Dokończone).

Po tych wyrazach księżnej nagle zapanowała cisza, bo każdy ciekawy był naprawdę odpowiedź

młodej dziewczynki. Ale ona, zamiast odpowiedzi, spytała z uśmiechem:

— Dla czego w inny sposób nie streścisz ogólnego pytania, księżno miłościwa, dla czego nie pytasz: kto mię zaklął na szczęście? Pytanie byłoby tak właściwsze i odpowiedź łatwiejsza.

— Szczęście?!... — powtórzyła księżna z namysłem i poważniejąc nagle. — A prawda! tak ciebie pytać będzie właściwiej; bo o ile wiem, twoja cicha, milcząca i uprzejma powaga nie dziecinna, nie dziewczęca nawet, istotnie z głębokiego szczęścia pochodzą... I musi tak być, bo najpiękniejsze wiosenne poranki, gdy cała natura szczęściem oddycha, także zawsze są ciche i milczące. I w niebie podobno spokój wieczny panuje... A więc pytam: Kto ciebie zaklął na szczęście?...

Mówiąc o wiosennym poranku, córka Jana III spojrziała na ojca, siedzącego w pobliżu. Król, pomimo rozmowy prowadzonej z hetmanem Jabłonowskim, dosłyszał mowy i dojrzał spojrzenia ukochanej córki, i odpowiedział jój słodkim, najśłodszym z uśmiechów, który mu całą twarz rozjaśnił. Było to jakby nieme porozumienie pomiędzy dwójgiem ludzi, którzy rozumieli tajemniczą dla wielu piękność przyrody, i często razem chronili się w ustron Wilanowa przed zgiełkiem zfrancuziałego dworu. Tymczasem, tak zawezwana do mówienia Izabella, mówiła z udaną powagą, może rada w duszy, że księżna elektorowa naprawdę się zajmuje rozmową:

— Kto mię zaklął na szczęście?... A któżby, jeśli nie wróżka czarodziejka, dawna znajoma mojego ojca!

Rozmowa w kółku elektorowej już od początku zwracała uwagę, teraz uśmiech króla posłany córce i ostatnie słowa zagadniętej panienci ostatecznie zaciekawily wszystkich.

— Moja dawna znajoma!?... — powtórzył Stanisław Morsztyn wyrazy córki zdziwiony, i postąpił ku niej z zajęciem, słuchając także. Król i hetman już słuchali; i inni, o ile przyzwoitość salonowa pozwalała, posunęli się ku lepszemu słuchaniu.

— Wróżka-czarodziejka! jaka? jak się nazywa, gdzie mieszka? — żywo spytała elektorowa, i gestem wraz z pocałunkiem w czoło zmusiwszy Izabellę do zajęcia miejsca, sama usiadła przy niej, patrząc w nią, zajęta serdecznie śliczném dzieckiem.

— Nie wolno mi mówić tego! to tajemnica! — powiedziała Izabella z wielką tajemniczością. — Biedna wróżka-czarodziejka, zaklinająca ludzi na szczęście, nie miałyby chwili spokoju, gdybym powiedziała ludziom, gdzie ona mieszka!

— A tak dary jój dostaną się tylko godnym

ich, i przez nią samę wybranym; to sprawiedliwie! — poszepnął Jan Jabłonowski.

— A więc zachowaj tajemnicę co do jej imienia i mieszkania, a mów tylko, jak ją poznałaś? — pytała córka Jana III-go, może dla tego tak pytając o wróżkę, zaklinającą na szczęście, że sama tego szczęścia nie знаła wśród domowych zgrzyot i niesnasek. Izabella posłuszna zaczęła opowiadać tajemniczo:

— Było to wiosennym porankiem, ślicznym, pachnącym, cudownym. Stałam na krańcu naszego ogrodu, na wysokim starym kopcu granicznym, i dumałam, dla czego wiosna technie szczęściem?... A wtém... niewiasta bardzo piękna, choć

— I... i cóż?... no i cóż? — pytała elektorowa a za nią wszyscy.

A Morsztynówna, wysuwając się z ramion przyjaciółki, spojrzała na uśmiechniętego, zaciekawionego ojca, i tłumiąc śmiech, odrzekła z wielką dziecinną powagą:

— A cóż?... poszłam za nią; mogłam mieć do niej zaufanie, gdyż to była przecież bardzo dawna znajoma mojego ojca!

— Dalej! dalej! mów? Gdzież ona cię wiodła? — pytała księżna.

Wojewodzianka zachwiała jasną główką, jakoś zadumana, jakby zapomniawszy nagle o żartach i o słuchaczach, mówiła:



Koniki (str. 312).

dziwna, bo i stara i młoda zarazem, tak, jakby wieczną była, zjawiała się przedemną, i rzekła: „Pójdź ze mną! ja ci to powiem!...” Cofnęłam się przed jej wielką powagą, gdy nagle poznałam w niej jedną dawną mojego ojca znajomą, i...

— Co ta moja dziewczyna tam wygaduje?! — zawołał wojewoda sandomierski, postępując jeszcze bliżej ku córce, zajęty i zdziwiony naprawdę.

Izabella rozśmiała się i przytuliła do księżnej elektorowej, która chwyciła ją w objęcia tak, jak matka lub starsze siostry chwytają rozszczębiotane dzieci, pieszcząc je.

— Och... szłyśmy długo po ziemi, fruwałyśmy jak ptaki pod niebem, płynęłyśmy srebrną falą morską, a wszędzie po drodze wróżka tłómaczyła mi, dla czego każdy twór technie szczęściem, z którego składa się hymn szczęścia wiosenny, a ja, ile rozumiałam z jej słów o szczęściu, tyle tego szczęścia zdobywałam, aż... spoczęłyśmy w precudnym kryształowym pałacu. Był przezroczystry, przeto spojrzalam na przebieżoną drogę i zdumiałam, bo sądziłam ją bardzo odległą, a ujrzałam się tuż przy dworcu ojcowskim, a przed nami była jeszcze droga długa taka, że jej końca dojrzeć nie mogłam.

— O wróżko! — zawołałam — kiedyż przebijemy resztę drogi? kiedyż wytłómaczysz mi i kiedyż ja posiędę resztę tajemnicy szczęścia?

— Już niezadługo!... — odpowiedziała wróżka i palec położyła na ustach na znak milczenia. — A tymczasem—dodała—zaklinam cię na szczęście tymczasowe i daję ci tego szczęścia talizman, dopóki nie dowiesz się i nie posiędziesz reszty...— to mówiąc wróżka znikła, a ja ujrzałam się w dworcu ojcowskim zakłętą na szczęście.

Wojewodzianka umilkła nagle. Wojewoda pochmurniał i zmarszczył brwi, wpatrując się w jedynaczkę, pozostałą mu z kilkorga dzieci. Inni pytali chórem:

— A talizman? talizman?

— Mam go! — krótko odpowiedziała dziewczeczka.

— Pokaż! wojewodzianko! zlituj się, pokaż choć zdaleka! — proszono.

— Nie można! straciłby moc swoją! — odpowiedziała, zartując.

— No, ale wtedy, gdy już całe szczęście posiędziesz, wtedy ten tymczasowy talizman nie będzie ci potrzebny; to może wtedy udarujesz nim jakiego wybranego człowieka? — tak mówiła sama królowa, a z mowy jej łatwo było zrozumieć, że pojmowała niewiedzieć jak opowiadanie Morsztynówny, a przez „wybranego“ rozumiała ni mniej ni więcej, jak przyszłego jakiego małżonka pięknej, bogatej i znakomitego rodu panny. Wszyscy tak te słowa zrozumieli i młodzież ozwała się chórem, choć półgłosem, jakby do siebie:

— Ach, kiedyż to będzie? czekamy!

— Niezadługo!... — szepnęła Morsztynówna, powtarzając słowo swjej wróżki i jak ona kładąc palec na ustach tajemniczo.

Wojewoda, stojący obok królewskiego krzesła, zadrżał i cofnął się tak gwałtownie i z takim wyrazem bólu na licu, że aż król spojrział na niego badawczo. A w tém huczne dźwięki tanecznej muzyki zabrzmiały i przerwały rozmowę, wstrząsnąwszy dziwnie niejednym z obecnych. Brzmiały z rozkazu królowej Maryi Kazimiery, znużonej strasznie nudną dla niej gadaniną rozpieszczonego, zepsutego dzieciaka, jak zwała pocichu Morsztynównę.

Nazajutrz, w jakiejś chwili, przypadkiem zdobytej wśród bezustannych uroczystości weselnych, dwie przyjaciółki znalazły się sam na sam w zamkowym ogrodzie, na szczycie tarasu, nad Wisłą. Był to zupełnie wyjątkowy wypadek, bo królowa nie zwykła była ani na chwilę pozostawiać córki bez surowego, poważnego jakiegoś nadzoru. Kilka dni tylko pozostawało do 2-go Listopada, naznaczonego na wyjazd księżnej elektorowej do Ba-

wary. Smutny, chłodny i chmurny ranek listopadowy zdawał się płakać zwiedłymi liśćmi, spadającymi z drzew i cicho skarżącemi się pod stopą przechodnia. Fala wiślana szemrała czegoś łzawo i niechętnie. Wicher jęczał boleśnie.

— Och, jak mi smutno!... — szepnęła panna młoda, mająca za dwa dni opuścić nazawsze kraj i rodzinę, i wspierając czoło na ramieniu Morsztynówny, rozpłakała się rzewnie. Izabella przytuliła ją do siebie w milczeniu zrazu, wiedząc z doświadczenia, że pocieszanie nikogo jeszcze nie pocieszyło. Spoglądała też wojewodzianka niespokojnie w aleję ku zamkowi, również z doświadczenia wiedząc, że pomimo nowej godności, elektorowa może dostać surową burę za taką samowolną bez starszych pań i ochmistrzyni wycieczkę w głąb ogrodu. Ale córce Jana III-go chciało się wyplakać... Po dłuższej chwili tego płaczu, Morsztynówna rzekła poważnie:

— Nic dziwnego, że płaczesz, księżno, rozstając się z całą przeszłością, ale popłakawszy, nie powinnaś czuć się nieszczęśliwą, bo chociaż z daleka, przecież będziesz miała swoją całą rodzinę do kochania...

Izabella umilkła nagle; a elektorowa spojrziała na nią badawczo i ujrzała taki cichy, głęboki żal w jej oczach, że własny żal odrazu zmalął w sercu Sobieskiej. Przypomniała sobie, że Izabella pomimo młodości dużo już cierpiała, utraciwszy w krótkim czasie matkę i rodzeństwo ukochane. Elektorowej prawie wstyd się zrobiło jej własnych żalów, porównawszy je z prawdziwem nieszczęściem. Otarła oczy, przybrała spokojną postawę i pozwalając się uprowadzać ku zamkowi, rzekła:

— Chciałabym posiadać taki, jak ty masz talizman szczęścia; wstyd mi wyznać, ale ja nie dobrze zrozumiałam to, co ty wówczas o szczęściu i o wróżce mówiłaś...

Izabella popatrzyła na towarzyszkę zdziwiona, a po chwili, uśmiechając się, rzekła:

— Wiesz, księżno, że tylko o te rzeczy starać się należy, które są przydatne. Otóż mój talizman na nicby ci się nie przydał teraz, ponieważ go nie potrzebujesz, gdyż i bez niego powinnaś być szczęśliwą. Ale wiesz? wszak obiecujesz pisywać do mnie? otóż, jak będę widziała, że ci jest potrzebny, to ci go pošlę!

— Dobrze! — zawołała księżna, ściskając ją. Gdy ty posiędziesz całkowite szczęście, niezadługo, jak mówiłaś, wtedy odstąpisz mi swój talizman!

Izabella uśmiechała się, patrząc na przyjaciółkę, i dziwiąc się, że i ona tak mało myśli jej rozumieć mogła.

Jedenastego Listopada księżna elektorowa pożegnała ojczyznę, rodzinę, i krótko znaną, ale ser-

decznie kochaną przyjaciółkę. Izabella wróciła z ojcem do Sandomierza, gdyż tam najczęściej przemieszkiwał wojewoda, a jedyna córka nie odstępowała go, słodząc mu każdą chwilę życia. Przymioty jej ciche rozwijały się i wzmacniały z wiekiem, a sława uczoności stawała się coraz głośniejszą, choć nikt nigdy pewno mniej sobie nie życzył rozgłosu od niej, zajmującej się księgami i nauką z prawdziwego zamiłowania jedynie. Ale dworzec uczonego wojewody odwiedzany był bezustannie przez licznych uczonych Polaków i cudzoziemców, a ci rozslawiali wojewodziankę.

Cała sandomierska okolica i miasto, ubodzy i cierpiący wszyscy zwali ją coraz głośniej aniołem miłosierdzia. Za to liczni panowie, dygnitarze, książęta, Polacy i cudzoziemcy, nawet król jeden, którzy wszyscy starali się gorliwie o rękę pięknej, bogatej i tyłu zaletami sławnej panny, nazywali ją coraz częściej zaklętą dziewicą! Nazywano ją tak, ponieważ nie umiano sobie wytłómaczyć inaczej jej sposobu życia poświęconego ojcu, nauce, ubogim, cierpiącym, a szczególnie z powodu jej postanowienia, że nigdy za mąż nie pójdzie. Więc panowie postanowili czekać, sądząc, że młoda panna zmieni może zdanie.

Nie czekali długo jednakże. W cztery lata po weselu Teresy Kunegundy Sobieskiej, Teresa Izabella Morsztynówna poczęła gasnąć... Wkrótce, uśmiechnięta, spokojna, wesółła prawie, jak zawsze, przestała żyć w osmnastym roku w mieście Sandomierzu, pocieszając ojca nadzieją przyszłego życia i przepraszając go za pierwszą boleść, jaką mu rozstaniem z nim sprawiała. Pocieszała go, że się znow zobaczy niezadługo.

— Niezadługo!... — powtarzał biedny ojciec, przypominając sobie smutne wrażenie, jakiego doznał przed czterema laty, gdy Izabella kładła ten wyraz w usta wróżki, obiecującej jej „niezadługo” zupełne posiadanie szczęścia. Ojciec doskonale już wtedy rozumiał córkę, która szczęście zupełne upatrywała w życiu wiecznym.

Gdy zwykłą koleją rzeczy ludzkich pierwsza boleść Morsztyna po stracie córki przeminęła, zaczął on, zwyczajem ludzi piszących, wysnuwać żal swój z siebie i wylewać na papier, tak, jak to Jan Kochanowski czynił. Napisał więc wojewoda *Treny po stracie dzieci*. Później zaś uspokoivszy się, osierocony ojciec znajdował jedyną, choć bolesną przyjemność w rozpatrywaniu pamiątek, jakie mu po tych dzieciach pozostały. Dni całe spędzał Morsztyn na przeglądaniu i układaniu na nowo książek Izabelli, na odczytywaniu notatek, zeszytów, liścików, jej ręką pisanych.

Tak raz zagłębiwszy się w tém rozpamiętywa-

niu przeszłości, znalazł w jakiejś skrytce biureczka list starannie zapieczętowany, zaadresowany do księżnej Teresy Kunegundy, elektorowej bawarskiej; na skraju listu była prośba do znalazcy tego listu o odesłanie go wedle adresu. Wojewoda natychmiast wypełnił wolę córki.

W dość długi czas potem, list ten, wieziony przez umyślnego gońca, doszedł do starożytnego, niegdyś pięknego, lecz już opustoszałego zamczyska Straubing w Bawaryi. Ale nieprędko jeszcze dostał się ten list do rąk, dla których był przeznaczony. Musiał wprzód przejść przez bardzo wiele rąk innych, a że była wątpliwość, co z nim zrobić, czy otworzyć, czy spalić? tedy list czekać musiał na wyrok co do siebie, a nawet nową podróż, choć krótszą odbył, aby się przedstawić tym, od których ten wyrok zależał. Nareszcie, niewiadomo na skutek jakiej chwilowej łaskawości, wypadł wyrok: oddać wedle napisu. . . Więc list biedny powrócił do Straubing i z wielkim podziwem nieprzywykłej do tego straży, przehywszy ciche, puste, wilgotne korytarze zamku, oddany został Teresie Kunegundzie, małżonce Maksymiliana Emanuela bawarskiego.

Biedna księżna, na skutek licznych okoliczności, lecz nie własnej winy, była osadzona w tym zamku z naleźnemi jej na pozor względami, ale pilnowana ściśle i w rzeczywistości więziona. Znękana, smutna i znużona, chora na skutek zgryzot, płacząca bezustannie za dziećmi, z którymi ją rozdzielono, nieszczęśliwa, zrozpaczona kobieta, otworzyła list niechętnie, jakby przekonana, że dla niej nic już dobrego w żadnym liście znaleźć się nie może. Z roztwartego pisma wypadło drugie, bardzo maleńkie i także zapieczętowane. Na roztwartym zaś arkuszu były wypisane te słowa:

„Księżno! wedle danego ci niegdyś przyrzeczenia, sama posiadłszy szczęście zupełne, posyłam ci mój talizman na tymczasowe szczęście, dany mi przez starą znajomą mego ojca: Naukę. Jeżeli jesteś bardzo nieszczęśliwą, otwórz tu załączony liścik, który zawiera talizman, i uwierz! . . . umarli nie kłamią“.

Księżna długo patrzyła na te wyrazy, może odczytywała z nich całą przeszłość swą minioną. Tymczasem koperta, zawierająca talizman, zsunąwszy się, spadła na podłogę. Małe dziecko, trochę jakby wystraszone i zaniebane, podniosło talizman, bawiąc się liścikiem bezmyślnie, aż na surowe księżnej skinienie oddało go i uciekło w kąat komnaty; bo księżna, pozbawiona własnych dzieci, wychowywała troskliwie wprawdzie powierzoną jej córkę brata Jakóba, uwięzionego, ale nie kochała jej... Drżącemi teraz palcami biedna księżna roztworzyła tajemniczą kopertę z talizma-

nem, przypomniawszy sobie wszystko, całą swą przeszłość. W kopercie były tylko te słowa:

„Jeżeli jesteś tak bardzo nieszczęśliwą, że aż nie masz obowiązków, co jest najwyższem nieszczęściem... stwórz je sobie”!...

Dłużej jeszcze, niż zwierzchni list, trzymała księżna w ręce ten drugi. Powoli przypomniwała sobie poświęcenie każdej chwili życia Morsztynówny dla ojca i dla cierpiących, i jęj stanowcze wyrzeczenie się życia dla siebie. Zrozumiała dopiero teraz, że tkliwe niepospolite serce Izabelli musiało ciężej niż pospolite serca uczuć śmierć matki i rodzeństwa. Że dziewczeczka, za przykładem ojca, poznawszy się z jego dawną znajomą Nauką, za jęj pomocą musiała dojść do przekonania, że talizmanem na szczęście możliwe na ziemi jest zapomnienie o sobie, a zajęcie się obowiązkiem, stworzenie go sobie, jeżeli ktoś jest tak nieszczęśliwy, że nawet obowiązków już niema...

To wszystko, całe opowiadanie Izabelli o wróćce czarodziejce, teraz dopiero zrozumiała jasno biedna księżna. Patrzała na list długo, długo, aż nagle zdrząła rozpacznie, bo przyszło jęj na myśl, że ona właśnie nie ma obowiązków, bo nie ma dzieci, które jęj odebrano... Księżna wybuchnęła gwałtownym płaczem, gdy nagle oczy jęj padły na zaniedbane, wystraszone dziewczątko w kącie komnaty. Chwilę patrzała na nie w milczeniu, aż nagle, wyciągnąwszy doń ręce, zawołała:

— Pójdź, córko moja! ja zapomniałam, że mam obowiązek matki dla ciebie. Ach, nie, ja nie jestem jeszcze tak nieszczęśliwą, jak sądziłam...

Od tęg chwili, zająwszy się serdecznie wychowaniem powierzonej sobie dziewczynki, i ucząc się sama, aby ją uczyć, biedna matka znalazła jeszcze istotnie w jęj sercu i w swoim własnem źródło szczęścia, o którego istnieniu dotąd nie wiedziała. Talizman Izabelli Morsztynówny okazał swoją potęgę.

Mała owa dziewczynka, uszczęśliwiona także w ten sposób talizmanem zakłętęj dziewicy, była to słynna następnie małżonka Jakóba Stuarta, pretendenta do angielskiego tronu, Marya Klementyna.

M...a.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

I.

Przybycie do ziemi obiecanej.

Limpopo jest to rzeka w Afryce środkowej, stanowiąca granicę pomiędzy rzecząpospolitą Trans-

waalską a krajem Beczuanów. Wybrzeża tęg rzeki są właśnie przepysznie oświetlone w chwili, gdy się do nich zbliżamy. Oświetlenie to jest wspaniałym odbłaskiem wielkiego ogniska, otoczonego potrójnem kołem żyjących istot. Najobszerniejsze koło stanowią konie, drugie składa się z psów, a trzecie, wewnętrzne i najmniejsze, utworzyli młodzi myśliwi, nasi znajomi *): Hans i Henryk van Bloom, William i Arend van Wyk. Młodzi boerowie nową, jak widzimy, przedsięwzięli wyprawę.

Nie wszyscy oni jednakie mają cele i zamysły. Spokojny i uczony Hans radby zwiedzić ojczyznę swych przodków. Ma on zamiar udać się do Europy i użytkować tam swe wiadomości naukowe, ale chce wprzód dopełnić tych wiadomości i przygotować się lepiej, tak pod względem umysłowym, jak i materyalnym, zaopatrzyć jeszcze swe botaniczne zbiory w nowęj, ważnej wycieczce w nieznanę stronę Afryki środkowej.

Rozległe okolice ziemi jego rodzinnej rozciągają się pomiędzy rzekami Limpopo i Zambezi, pełno tam strumieni i lasów wspaniałych, a żyzną tęg ziemię pokrywają niezliczone i rzadkie okazy roślinne. Więc w te strony nieznanę postanowił udać się Hans na poszukiwania botaniczne, przed wyruszeniem do Europy.

Niemniejszy jest zapal Williama, gdyż on w tych okolicach spodziewa się upolować jakieś zwierzęta nadzwyczajne.

Ale niema przy ognisku najmłodszych chłopaków, Janka i Klaasa. Niestety, rodzice nie pozwolili im udać się na wyprawę tak daleką i niebezpieczną. A przytém trzeba było przecież poświęcić trochę czasu nauce, aby malcy nie wyrosli na wpół-dzikich myśliwców. Henryk i Arend, jakkolwiek serdecznie lubią wyprawy tego rodzaju, przecież nie napierali się na ten raz tak gorąco, jakby się tego można po nich spodziewać. Obydwaj woleliby byli pozostać w Graaf-Reinet, polując na pospolitą miejscową zwierzynę, a to z tego powodu, że domowe progi stały się teraz dla nich jeszcze miłszemi niż dawnięj, miłszemi nawet od przygód niezwykłych, za któremi młodzieńcy przepadali dawnięj. Przyczyną tęg odmiany jest ta okoliczność, że Henryk van Bloom ma teraz narzeczoną, młodą Wilhelminę van Wyk, jedyną siostrę Williama i Arenda. Arend zaś przekładał teraz codzienne towarzystwo panny van Bloom nad wszelkie podróże i wycieczki myśliwskie. Ale William i Hans uparli się i namówili, żeby koniecznie urządzić tęg wycieczkę w stronę północne,

*) Pierwsza część tęg podróży, stanowiąca zupełnie osobną całość, drukowana była w Wieczorach Rodziny w roku przeszłym.

nieznane im jeszcze, a ich przykład, i obawa śmieśności pociągnęły nareszcie Henryka i Arenda nad rzekę Limpopo w ślady myśliwca i przyrodnika.

Oprócz nich siedzą przy ognisku dwie jeszcze znajome nam postaci: krótki, krępy Buszman Facetan, i Kafr Kongo. Obaj oni, jak zawsze, towarzyszą młodym swym panom. Rzeka Limpopo zanadto jest oddalona od Graaf-Reinet, aby młodzi myśliwi mogli wybierać się w drogę z wozami i wołami. Oczywiście można było je zabrać, i byłoby to nawet wygodniej, ale za to podróż musiałaby być niezmiernie powolną, a tymczasem wszystkim pilno było niesłychanie dostać się do tego, co William nazywał „Ziemią obiecaną”. Aby więc tę chwilę przyspieszyć, wyrzeczono się wołów i wozów, a dosiadłszy dzielnych wierzchowców, udano się na miejsce drogą najkrótszą, unikając na ten raz zajmujących skądinąd przygód, zamiast ich szukać jak zawsze. Oprócz wierzchowców, podróżnicy mieli z sobą sześć koni pod pakunki i amunicję.

W chwili, w której spotykamy ich przy ognisku, spoczywają oni właśnie chwilowo nad brzegami rzeki Limpopo, po jej szczęśliwem a dość trudnem przebyciu. Znajdują się więc na granicy tego kraju, który przedstawiono im jako raj myśliwców. Odtąd czekały ich już same tylko przyjemności, te przyjemności tak upragnione, że dla nich przebyli setki mil z ochotą *).

Oprócz rzeczywistej rozkoszy polowania, był przecież jeszcze jeden cel wspólny, który przywiódł tu naszych młodzieńców. Konsul niderlandzki otrzymał od swego rządu rozkaz wystarania się o dwie młode girafy i ofiarował 500 funtów szterlingów (to jest około 5000 rubli) temu, kto by mu dostawił zdrową i całą taką parę do miasta Kap, albo do Port-Natal. Mnóstwo myśliwych próbowało już szczęścia w tym względzie. Dużo pięknych giraf padło od kul, ale nikomu nie udało się dotąd dostawić żądanych okazów żywych. Młodzi nasi znajomi wyprawili się więc także, postanowiwszy dostać pożądaną zdobycz. Cena naznaczona za nią i sprzedaż kłów hipopotamów powinny były wrócić z zyskiem koszta wyprawy. Zamysły te nie były wcale zamkami na lodzie, nie jedna wielka fortuna zawdzięcza swój początek kłom słoniowym, o czem młodzi myśliwcy wiedzieli doskonale. Wiedzieli też i o tem, że kły hipopotamów stanowią najpiękniejszy gatunek kości słoniowej i sprzedają się bardzo drogo.

Głównym jednakże celem wyprawy były owe młode girafy. A przecież naprawdę nie o zyski

chodziło tu jedynie: дума myśliwska, szczególnieją дума Williama, ożywiła młodą gromadkę, pragnącą koniecznie dopełnić tego, za czem na próżno goniły gromady łowców. Ten czyn zdawał się daleko ważniejszym od nagrody zań wyznaczonęj, chociaż i ta nie była do pogardzenia, a nawet słuszną miała być zapłatą za trudy i koszta wyprawy.

II.

Wybrzeża Limpopo.

Pierwsza noc przepędzona na wybrzeżu Limpopo utwierdziła młodych myśliwych w przekonaniu, że się znajdują w sąsiedztwie tych najrozmaitszych dzikich zwierząt, z któremi się spotkać pragnęli. Sen ich młodociany, twardy w skutek, utrudzenia, był co chwila przerywany straszny rykiem lwa, potężnym, metalicznym głosem słonia, i jeszcze jakimiś dźwiękami, których nasi myśliwi nie słyszeli dotąd nigdy w życiu. Rozumie się, że te poważne i potężne głosy były tylko głównemi nutami olbrzymiego chóru przeróżnych zwierząt pomniejszych. Młodzi podróżnicy spędzili część dnia na wyszukiwaniu odpowiedniego przejścia przez rzekę, a znalazłszy je stracili znów trochę czasu przy przeprawie, tak, że pod noc nie wypadało już zapuszczać się dalej w kraj zupełnie nieznan. Jeden Kongo miał przecież ochotę po temu. Chciał on choćby pół milki posunąć się w górę lub na dół rzeki. William był tegoż samego zdania, chociaż nie z innęj przyczyny, jak tylko w skutek wielkiego zaufania w doświadczeniu i zdaniu wiernego sługi. Zastosowano się więc do tego zdania, i otóż nieznane owe głosy, budzące myśliwych wśród nocy, pochodziły najwyraźniej z tęg właśnie okolicy wybrzeża, z której się oddalili.

— A co? wiecie teraz, dla czego Kongo koniecznie nam radził odejść ztamtąd? — pytał William towarzyszy, słuchających uważnie owych brzmień nieznan. —

— Niel nie wiemy! — odpowiedziano.

— Oto dla tego, że ta część wybrzeża jest zwykłą schadzka zwierząt okolicznych, przybywających pić wodę z rzeki.

— Tak jest, panie! — potwierdził Kongo, zarówno dumny własnem doświadczeniem, jak i mądrą przenikliwością i domyślnością Williama.

— A jednakże, nie po to przecież zrobiliśmy tysiączek mil drogi, aby ustępować przed zwierzną! — zawołał Henryk, myśliwiec zapałony.

— Nie, — odrzekł William — ale przybyliśmy tu, aby tropić zwierzynę, nie zaś, aby być przez nią tropionymi. Przymem i konie nasze potrzebują spoczynku.

*) Mile angielskie.

Tak rozmawiając ziewano przecież, ucho przyzwyczajalo się do strasznych, nieznanych głosów i wkrótce młodzież zasnęła znowu snem sprawiedliwych. Wschodzące słońce ukazało okolicę nieporównanej piękności. Znajdowano się w rozległej dolinie, pokrytej z rzadka wspaniałemi drzewami, po większej części z gatunku baobabów, (*Adansonia digitata*). Tu i owdzie ukazywały się gromadki dzikich palm daktylowych. Grunt, prawdziwy kobierzec kwiecisty, mienił się od barw rozlicznych. Hans podziwiał ten widok z wielkim zadowoleniem. Nowe pole do zgłębiania ulubionej nauki stało przed nim otworem. Chwilami dreszcz go wstrząsał radosny, przychodziło mu na myśl, że porobi tu nowe jakieś znakomite odkrycia, które wsławią go, i w pierwszym rzędzie przyrodników europejskich postawią.

Zanim ktokolwiek jednak pomyślał się ruszyć z miejsca, już William z Kongiem przedsięwzięli małą wycieczkę w dół rzeki. W miejscu, w którym wyszli na brzeg dnia poprzedniego, ujrzeli widok, który nie mógł być przyjemnym nawet dla najzapaleńszego myśliwca, pomimo że każdy myśliwiec pała jakby duchem zniszczenia. Na przestrzeni mniej więcej 100 metrów leżało pięć nieżywych antylop z rodzaju nieznanego zupełnie Williamowi. Skurczone zajadle ponad temi trupami hyeny pożerały je chciwie. Za zbliżeniem się myśliwych, hyeny odeszły zwolna, wydając dziwny, przykry krzyk, wielce podobny do śmiechu szaleńca, który dopiero co popełnił jakąś okropność. Ślady na wybrzeżu dowodziły niemylnie, że lwy i słonie przychodziły tu pić w nocy wodę z rzeki. Gdy się temu przypatrywał William, przyniósł Hans, oglądający pobieżnie skarby flory miejscowej, i uznał natychmiast, że zamordowane antylopy należały do rodzaju łosiowatych, ale była to jakaś nowa, nieznaną odmiana.

Szybki przegląd przeróżnych śladów dozwolił wprawnemu i doświadczonemu Kafrowi odgadnąć scenę nocną tak dokładnie, jakby na nią patrzył własnymi oczami. Stado antylop przybyło najpierw do rzeki. Tymczasem cztery słonie nadeszły spragnione i nacisnęły je, a nareszcie przybyło trzy lub cztery lwy i rozpoczęła się walka, w której padły nieszczęśliwe antylopy. Wróciwszy do obozu William powiedział:

— Zdaje mi się, że to miejsce jest doskonałe, trzeba tu urządzić obozowisko stałe i zatrzymać się w niem czas niejaki. Trawa tu obfita, więc nie zbraknie koniom żywności, a mamy już dowód, że tuż obok jest miejsce schadzki okolicznych zwierząt.

— I ja tak myślę — potwierdził Henryk — ale nie mam ochoty obozować tak blisko tych schadz-

dek; wolałbym cokolwiek się odsunąć, abyśmy zwierzętom nie przeszkadzali pić, a one nam spać w nocy.

— Tak, tak! ma słuszność Henryk! — potwierdzili inni i postanowiono natychmiast poszukać w pobliżu miejsca innego na obóz i ogrodzić się w niem porządnie, to jest urządzić tak zwany *kraal*.

Zjadłszy pierwsze śniadanie na wybrzeżu Limpopo, William, Hans i Henryk dosiedli koni i udali się w górę rzeki, zabierając całą sforę psów za sobą. Arend, Facetan i Kongo pozostali na straży w obozie.

Ujechano już ze trzy mile naprzód, nie natrafwszy na miejscowość odpowiednią do tymczasowych osiedlin, z którejby łatwy był przystęp do rzeki. Brzegi były wysokie i urwiste. Nareszcie okolica zaczęła się zmieniać, i ukazywały się drzewa stosowne do użycia na palisady, brzegi stały się dostępne, chociaż widocznie nie były jeszcze zwiedzane zbyt gromadnie przez dzikiego zwierza.

— Zdaje mi się, że tu nam będzie dobrze — powiedział William — niema z tąd więcej jak pół godziny drogi do brodu i niechybnie tam trochę wyżej wygodnie będzie polować.

— Tak, — odrzeczł Henryk — tylko zanim weźmiemy się do budowania obszernego kraalu, trzeba się przekonać, jaki właściwie rodzaj zwierzyny mieć tu będziemy w pobliżu.

— Masz słuszność — przyznał William — trzeba się przekonać, gdzie znajdziemy girafy i hipopotamy. Bez pary giraf nie wrócimy przecież do domu. Byłby to wstyd ciężki i niejeden ze znajomych wyśmiewałby się z nas niezawodnie.

— A tobieby się to należało — odpowiedział Hans — przypomnijno sobie, ile to razy wyśmiewałeś się z myśliwych, którzy powracali z próżnemi rękami.

Oznaczywszy miejsce na kraal, w razie gdyby się tu zatrzymać mieli na dłużej, młodzieńcy udali się jeszcze dalej w górę rzeki, aby się zapoznać z okolicą i ze zwierzyną, zanimby ostatecznie przystąpili do urządzenia obozowiska.

III.

Podwójna pułapka.

Wkrótce po odjeździe Williama i jego towarzyszy, Arend upatrywał poza gromadką drzew o pół mili od rzeki stado antylop, pasące się spokojnie w dolince. Skoczył zaraz na koń i udał się tam, aby upolować antylopę na wieczrę. Podjechał pod wiatr, i zbliżywszy się, poznał, że antylopy należały do gatunku skaczących. (Springbok). W pobliżu pasących się zwierząt było za-

rośle pięknych oleandrów. Były to krzewy okazałe, dochodzące dwunastu stóp wysokości, obsypane przepysznyimi kwiatami.

Podsunięwszy się ostrożnie pod ten namiot kwiecisty, Arend mógł się zakraść bliżej, wziął więc dobrze na cel jedną z największych antylop i wypalił. Wszystkie antylopy, prócz tej jednej, w mgnieniu oka jednym silnym skokiem znikły w głębi najbliższych krzewów. Wtedy Arend sprawdzwszy, że zwierzę, do którego strzelił, już nie żyło, wrócił do tymczasowego obozu i posłał Konga i Buszmana po zabita antylopie. Przyniósłszy ją do obozu obaj zaczęli zwierzyne odzierać ze skóry i przygotowywać do upieczenia, gdy Facetan zawołał:

— Spójrzj no tam, panie Arendzie!

— Albo co?

— Koń juczny uciekł nam z obozu.

Arend spojrział we wskazanym kierunku i w istocie ujrzał konia, który odłączywszy się od towarzyszy błędził w oddali.

— Pilnujcie waszój pieczeni, ja sprowadzę konia — rzekł Arend, i wskoczywszy na swego wierzchowca, pogonił za zbłąkanym zwierzęciem.

Tymczasem do gotowania potrzeba było wody, a więc Kongo i Facetan wzięli naczynia i poszli po nią do rzeki. Idąc urwistym wybrzeżem, aby dojść do miejsca, gdzieby łatwiej można wody zaczerpnąć, Kongo, który szedł pierwszy, znikł nagle z powierzchni ziemi. Nastąpił był na ukryty starannie dół, przeznaczony do chwytania hipopotamów i słoni. Dół miał z dziewięć stóp głębokości.

Kongo w pierwszej chwili odurzony był tą niespodzianką, oślepiiony piaskiem, ziemią, zasypany rozlicznymi materyałami, które stanowiły sztuczne nakrycie dołu. Ale odurzenie trwało tylko chwilę, a Kongo za dobrze znał takie pułapki na grubego zwierza, aby miał się naprawdę zakłopotać. Przekonawszy się tedy najprzód, że nie złamał ręki ani nogi, przetarł dobrze oczy i spojrział w górę, pewien, że ujrzy tam już gotowego na ratunek Facetana. Nie przyszło mu na myśl, żeby Facetan sam w tej chwili mógł potrzebować pomocy...

Buszman, w pierwszej chwili zniknięcia towarzysza w sposób aż nadto dla nich obu zrozumiały, tak się ucieszył, że pękając ze śmiechu zaczął skakać i tańczyć na około jamy, w której tamten siedział, gdy nagle serdeczny przyjaciel, tak wyskakujący z uciechy nad biedą cudzą, i sam zapadł się w takiż sam zupełnie dół, w jakim tamten siedział. W tém miejscu bowiem wykopane były dwie jamy jedna koło drugiej i obie teraz zostały zajęte. Krajowcy zwykle urządzają takie podwój-

ne pułapki na słonie, aby zwierzę pewniej się dał schwycić.

Dno jamy, w którą wpadł Kongo, było pełne błota, a ściany jej śliskie i prostopadłe nie pozostawiały więźniowi żadnej nadziei wydostania się na zewnątrz. Wrzaskliwy śmiech Facetana, rozlegający się zrazu, nie przyczyniał mu także dobrego humoru, gdy nagle śmiech ustał i nastąpiła cisza. Kongo rozumiał doskonale uciechę towarzysza z cudzego przypadku, pewien był, że gdy przeminie ów napad wrzaskliwej wesołości, Buszman przeciw wróci do rozumu i pomoże mu wyleźć z pułapki; ale gdy zrozumiał, że pozostawiono go smutnemu losowi na dłużej, wtedy Kongo o mało nie oszalał z gniewu.

Czas upływał, sekundy zdawały się godzinami, ucieszne wrzaski ustały, Facetan się nie ukazywał. Jeżeli Facetan opuścił towarzysza, to Arend, wróciwszy do obozu, powinienby już był dawno przybieść na ratunek wiernego sługi, dowiedziawszy się, co zaszło. W dodatku do całej nieprzyjemności położenia Konga, jama roiła się żabami, dużemi mrówkami i innymi owadami, które dostawszy się tam nie mogły się wydostać napowrót.

Kongo, jakkolwiek nie zbyt wykwintne miał nawyknięcia, nie znajdował jednakże wcale przyjemności w tém towarzystwie. Krzyczał głośno, wołał Facetana i Arenda, wszystko na próżno, aż nareszcie umilkł, a ponure myśli zemsty ogarnęły jego duszę. Gorąco więc teraz pożądał wolności w tym jednym celu, aby pomścić się nad tym, który w tej chwili urągał mu, przedłużając jego więzienie.

I Buszman nie skaleczył się także, wpadając w pułapkę, a zrozumiawszy co się z nim stało, zapragnął wyleźć z niej co prędzej dla tego, aby Kongo nie wyśmiewał go, gdyby sam pierwszy ze swojej się wydobył. Przykry to był zbieg okoliczności dla Facetana. Słuchał on przez chwilę krzyków rozpaczliwych towarzysza, ale sam milczał, rozmyślając, co czynić. W głębi dołu wbity był ostry pał, przeznaczony na to, aby zwierzę wpadając przebiło się nim odrazu. Buszman próbował wyjąć ten pał z pośrodku dołu, aby z pomocą jego wdrapać się na ścianę owego więzienia, ale pał wyrwać się nie dał.

Facetan rozmyślał, a z rozmyślań jego, choć nie pomagały do wydostania się z dołu, wynikała dlań ta przynajmniej pociecha, że wykrył przyczynę swój niefortunnój przygody. Przyczyną tą był nie kto inny, tylko Kongo.

Zadanie konikowe (K. R.).

u	ka	tre	sów	sta	le	dziel	po
wnej	cza	dla	gad	ści	to	tu	się
ra	cha	da	li	Mi	ność	wie	ra
rych	pier	li	brzmi	ści	był	u	świa
w ser	pie	w sta	rze	za	wa	sta	czas
się	bu	szą	był	wa	za	dom	kry
od	ce	w scho	rze	gdyś	tarcz	gdyś	przed
dnie	na	czas	wply	my	mu	my	lu

Łamigłówka zgłoskowa (A. C.).

Z następujących zgłosek: a — an — ba — bat — dy — dyn — el — fi — go — lon — me — ra — sty — ty — wiec — ułożyć 6 wyrazów: 1. Wyraz używany w handlu. 2. Drogie kamienie. 3) Drzewo owocowe stref gorących. 4. Góry w Ameryce. 5. Rzeka w Europie. 6. Miasto w Anglii. Początkowe i końcowe litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwisko dwóch sławnych malarzy włoskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Łamigłówki metamorfozy:

Anna.
Hanna.
Manna.
Sanna.
Wanna.
Panna.

Łamigłówki zgłoskowej:

Euterpa.
Don.
Wojski.
Azow.
Rembrandt.
Donizetti.
O'Connel.
Dzida.
York.
Nuredyn.
Itaka.
Eter.
Czub.

Edward Odyniec — Branka Litwina.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Trzem siostrzyczkom M. L. H. Otrzymaliśmy rubla dla biednej wdowy na założenie sklepiku i żalowaliśmy bardzo, że na małej karteczce było tylko skreślonych parę wyrazów; radzibyśmy dłuższy liścik odebrać od dobroczynnych siostrzyczek.

Zosi M. w Welezinie. Kochani nasi czytelnicy tak śpieszą z datkami, że suma potrzebna na założenie sklepiku dla biednej wdowy pewnie niezadługo będzie zebrana, o czém nie omieszkamy donieść. Dwa ruble złożone przez trzy miłe siostrzyczki i rubla dołączonego przez zącą ich nauczycielkę, oddaliśmy do rąk właściwych. Cieszymy się, że „Braniec tatarski“ czytany jest z takim zajęciem; druga część tej powieści wkrótce będzie drukowana. Łamigłówki wszystkie zamieścimy niezadługo, prosimy o cierpliwość.

Waluni P. w Rześniówce. Z ładnej kaligrafii liściku łatwo się przekonać można, jak dobrze czyni nauczycielka, nie pozwalając pisać małemi literkami. Wyraźne i piękne pismo jest miłą i pożyteczną zaletą, którą w młodości bardzo łatwo nabyć, w późniejszym wieku daleko trudniej, a młodeż często nie dba o to wcale. Za liścik, taki uprzejmy i miły, dziękujemy serdecznie. Łamigłówki obie wydrukujemy, tak są porządnie wypisane, że nam żadnego kłopotu nie przyczyniają. Prosimy tylko o troszkę cierpliwości, bo mamy dużo nadesłanych wcześnięj.

Łazi C. w Piotrkowie. Rubla dla biednej wdowy na założenie sklepiku otrzymaliśmy w ładnym różowym liściku, starannie napisanym, tylko niestosownie zaadresowanym do „pana Redaktora“.

Mieczysławowi S. w Moskwie. Wszystkie łamigłówki trafnie rozwiązane. Zadania konikowe trudniejsze są nieco do odgadnięcia, jeżeli zawierają wierszyk nieznan; ale praca przy tém odgadywaniu jest zawsze pożyteczna. Jeśli się natrafi na właściwą drogę, wiersz ten potem pozostaje w pamięci na dłużej, a wszystkie wiersze, wybrane do naszych zadań, zasługują na to. Pismo nasze było wysłane w całym komplecie, zapewne już doszły wszystkie N-ra, w każdym razie sprawdzimy to na poczcie i wyślemy powtórnie, jeśli przepadły.

Maryni Ch. w Grodnie. Łamigłówka nie jest dobrze ułożona, gdyż nazwa miasta w Ameryce pisze się San Francisco, i przez jedno s. Prosimy więc o inną, najlepiej wybierając nazwy swojskie, powszechnie znane. Rozwiązanie naszych zagadek trafne, a liścik, choć króciutki, bardzo starannie napisany.

Od Jadwini, Teofilki i Ewelci z Kamieńca Podolskiego otrzymaliśmy rubla dla ubogiej wdowy, za co serdecznie w imieniu jęj dziękujemy.

Pani K. Sz. w Mińskiej gub. Podzielamy zupełnie zdanie Pani, co do umieszczenia panienek, uczęszczających do zakładów naukowych, na stancyach prywatnych tak, jak to jest we zwyczaju dla chłopców. Sądzymy, że o takie pomieszczenie nie tak trudno w Warszawie, jak Pani powiada. W tej chwili możemy wskazać adres panny Heleny Kuczalskiej, Sienna N-r 4. róg Sosnowej, upewniając, że córki Pani znajdą tam troskliwą opiekę i pomoc naukową.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



BASIA.

Basia była bardzo miła i roztropna dziewczynka, miała jednak jedną brzydką wadę, niezawsze słuchała Mamy, zwłaszcza, gdy jej nikt nie widział. Nieraz myślała sobie:

— Ej, co tam, mamusia się nie dowie, to i gniewać się nie będzie.

Dzieciom często się zdaje, że Mamy słuchać potrzeba dla tego tylko, aby się nie gniewała i nie karała ich za nieposłuszeństwo. Nie wiedzą o tem, że rodzice wcale nie dla siebie, nie dla własnej swojej dogodności wymagają tego, aby ich dzieci słuchały, ale dla dobra tych dzieci.

Basia lubiła niezmiernie wchodzić do kuchni, zbliżać się do pieca, przypatrywać się, jak kucharka przyrządza różne potrawy. Mama jednakże wtenczas tylko na to pozwalała, gdy sama była w kuchni i mogła dopilnować Basi, ale surowo jej zabroniła wchodzić tam bez siebie.

Basia nigdy nie pomyślała, że Mama musiała mieć ważną przyczynę do tego, bo cóżby odmawiała przyjemności córeczce, gdyby to jej nie mogło zaszkodzić?

Pewnego dnia bona Basi dostała tak silnego bólu głowy, iż się musiała położyć, a tu Mamie wypadła konieczna potrzeba wyjść do

miasta za sprawunkami. Wychodząc, powiedziała Mama:

— Moja Basiu, muszę cię na chwilę zostawić z Julisją, ale ja prędko powrócę, pamiętaj, żebyś była grzeczna, a nadewszystko cię proszę, nie chodź do kuchni.

Julisia była to służąca, dobra bardzo dziewczyna, ale trochę roztrzepana. Jak tylko Mama wyszła, zaraz przypomniała sobie, że musi koniecznie pójść do sklepiku po bawełnę do cerowania pończoch i powiedziała do Basi:

— Niech panienka się pobawi lalką, ja w tej chwili powrócę—i wybiegła.

Basia, zamiast bawić się grzecznie w pokoju i pamiętać o zaleceniach Mamy, otworzyła drzwi, poszła do sieni, a potem do kuchni. Nie było tam nikogo, bo kucharka także gdzieś wybiegła. Nasza Basia zaczęła się kręcić po kuchni, zaglądać po wszystkich kątach, wszystkiego dotykać; zobaczyła na stole ogromny nóż, którym kucharka siekała kotlety, chciała go wziąć w ręce i byłaby się może okaleczyła, ale wtém usłyszała, jak coś zasyczało na ogniu.

Pobiegła więc zaraz do pieca i obaczyła, że to masło tak się smażyło na patelni. Basia popatrzała przez chwilę, a potem przyszło jej do głowy, ażeby zdjęć patelnię z ognia. Nie namyślając się długo, chwyciła za rączkę, podniosła patelnię, ale krzyknęła nagle, bo rączka była bardzo gorąca i upuściła patelnię.

Gdybyż była Basia po tym pierwszym nieprzyjemnym przypadku powróciła do pokoju, ale ona dalej gospodarowała po kuchni, przechylała garnki i rondle, zaglądając, co tam jest we środku, dotykała paluszkami masła, mięsa, wzięła mąki w garstkę i rozsypała ją po podłodze, same nierozsądne rzeczy robiła.

Nakoniec podeszła znowu do pieca i zaczęła dokładać drewek do ognia. Bawiło ją to niezmiernie, włożyła jedno polanko, potem drugie, trzecie; ogień pryskał, iskry się rozsypywały, Basia chwyciła obiema rączkami

dużą kłodę, ledwie ją podniosła i wpakowała do pieca. A wtém kilka węgli żarzących wypadło z pieca na ziemię, płomień buchnął i zapalił sukienkę Basi.

Przeleżała się dziewczynka, zaczęła dmuchać na ogień, ale to nic a nic nie pomogło, krzyczała, biegła po kuchni, a płomień od wiatru rozdmuchiwał się tylko coraz gorzej. Nieroztropna Basia byłaby może życiem przyplaciła swoje nieposłuszeństwo, bo pokój, gdzie leżała chora bona, był daleko od kuchni, nie mogła więc jęj krzyków bona posłyszeć, kucharka i Julisia nie wracały, a tu w całym domu nikogo więcj nie było.

Na szczęście jednak Ciocia przyszła w odwiedziny do Mamy i z sieni jeszcze posłyszła, że w kuchni ktoś krzyczy; wbiegła więc tam natychmiast i obaczyła dziewczynkę całą w płomieniach. Ciocia krzyknęła także z wielkiego przestachu, ale nie straciła głowy, chwyciła szybko ciepłą, grubą chustkę, którą miała na sobie i owinęła nią Basie, ażeby ogień przydusić, bo to jest najlepszy ratunek w takim razie.

Gdy już płomień zgasł zupełnie, Ciocia wzięła na ręce biedną dziewczynkę, prawie nieprzytomną ze strachu i bólu, zaniosiła ją na łóżko, rozebrała ze strzępków spalonych sukienek i obejrzała popalone jęj ciałko. Nadbiegła tymczasem Julisia, rozplakała się, obaczywszy co się stało; gorzko żałowała swj lekkomyślności. Ciocia posłała ją jaknajśpieszniej po doktora, a sama tymczasem przykładła do miejsc oparzonych płatki maczane w gulardowj wodzie, która na szczęście znalazła się w domu.

Nadeszła i Mama z miasta, możecie sobie wyobrazić jęj przestach, gdy obaczyła córeczkę w takim stanie. Basia chorowała ciężko po tym okropnym wypadku, cierpiała ból dotkliwy, a gdy nakoniec przyszła do zdrowia, zostały jęj na prawj rączce i na skroni znaki od oparzenia i doktor powiedział, że nie zejda nigdy. Znaki te miały przez całe życie przypominać Basi, jak to źle być nieposłuszną.

Straszna to była nauka, ale pożyteczna; od tęg pory Basia nigdy bez pozwolenia nie wchodziła do kuchni, a i w innych rzeczach zawsze Mamy słuchała i nie pytała się, dla czego tego lub owego robić nie można, bo wiedziała, że musi być ważny powód do tego.

KUKUŁKA.

Bajeczka dla mego synka Tadziumia.

— Mateczko, kukułka zaczęła już kukać, Pobiegnę pod drzewko, tam szczęścia poszukać, Złotówkę w kieszeni mam jeszcze od świątek, Ona mi bogactwa może dać początek.

— Mój synku, los zmienny i kapryśny bywa, Ten pewien przyszłości, co pracą zdobywa, Bo ona do szczęścia otwiera podwoje, Co pracą zdobędziesz, to na pewno twoje!

Marya Ciświcka.

MATECZKA FASOLA.

(Z FRANCUZKIEGO).

(Dalszy ciąg).

II.

Pewnego rana chwaścik przebudził się i obaczył, że fasolka miała duży pączek kwiatowy, ukryty pomiędzy listeczkami.

— Oho! moja jejmość — powiedział chwaścik—ja o niczém nie wiem, a wasani myślisz już zakwitnąć.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę—odrzekła mateczka fasola — wyobrażałam sobie twoje zdziwienie, jak obaczysz ładny mój kwiateczek w całej okazałości. A tak był dobrze ukryty pomiędzy listeczkami. Żeby nie ten wietrzyk, co je rozwiął tęg nocy, byłbyś nic nie spostrzegł.

O, cóż to była za radość, gdy kwiateczek zupełnie się rozwinął!

— Nigdy jeszcze nie widziałem takich ślicznych, czerwonych płateczków—mówił chwaścik.

— A jakie mięciutkie, jedwabiste—dodała mateczka fasolka—jak sobie pomyślę, że tam w głębi tego czerwonego kwiateczka śpią moje dziecińy, moje drogie fasoleczki, to mię taka radość przejmuję...

— Nie cieszymy się jednak zbyt — mówił chwaścik — nie wiemy jeszcze, co się z niemi stanie. Może je zerwie ogrodnik, a wtedy... wiesz przecież, co to znaczy.

— Wiem, wiem—rzekła mateczka zasmucona—wrzuca ją do garnka i będzie po nich. Biedne my fasolki!

Nie zważając jednak na te posępne myśli, mateczka fasolka nie ustawała w pracy, korszonki jęj dzień i noc ciągnęły z ziemi soki

pożywe dla wykarmienia licznej dźwiatwy, bo rodzina pomnażała się ustawicznie. Tyle kwiateczków się rozwinęło, że trudno je było policzyć. Prawda, że nasza fasolka nie bardzo biegła była w rachunkach, a i chwaścik nie więcej cd nięj umiał.

Pierwszy kwiateczek prędko zaczął więdnąć, piękna jego barwa pobladła, nakoniec usechł zupełnie i płateczki mu opadły. Ale za to w tém samém miejscu ukazał się malutki strączek, a była to kolebeczka, spały w nięj młode fasolki.

— To moje najstarsze dźiatki — mówiła mateczka fasola—o! żebyż to ogrodnik mi ich nie zabrał! Takbym chciała, żeby podrosły i dojrzały w strączku.

Przy końcu Lipca mateczka nasza okryta była zielonemi strączkami, a miała jeszcze i kwiateczków kilka. Ale zmizerniała bardzo biedaczka, bo przez troskliwość dla dźwiatwy o własném zdrowiu nie myślała. Niższe jęj liście zupełnie poźółkły, a i wyższe nie były tak świeże i zielone, jak dawnięj; dobra ta mateczka nie dbała jednak wcale o to, cieszyła się tylko, że dźcieci rosna zdrowo i pomyslnie.

Pewnego rana ogrodnik przechadzał się po ogrodzie z żoną i rzekł do nięj, zbliżając się do fasoli:

— Czy widzisz, jakie ładne strączki? mogłabyś je zerwać po obiedzie.

Biedna mateczka fasolka zadrżała od korażenia aż do wierzchołka swęj łodygi, wszystkie jęj listeczki trzęsły się ze wzruszenia i strachu.

— Słyszałeś—rzekła do chwaścika—co to oni za okropności mówili?

— Słyszałem—rzekł chwaścik ze smutkiem—ale uspokój się, może ogrodniczka zapomni o strączkach, może zresztą nie zerwie wszystkich. Cóż robić, trzeba się było na to zawczasu przygotować.

Ogrodniczka nie zapomniała, przyszła po południu, przygniotła ciężkim swoim trzewikiem biedny chwaścik i zaczęła rwać strączki. Ach, co to za żalony był chrzęst przy łamaniu ogonków! strączki poszły jeden po drugim do koszyka. Mateczka fasolka kzepiła się jak mogła, ale nie była w stanie przynieść takiego nieszczęścia i w końcu zemdlała z wielkiego żalu.

Gdy nadszedł wieczór, ropucha przyszła swoim zwyczajem i zastała to straszne spustoszenie. Chwaścik był zgnieciony, połamany, i tak osłabiony, że zaledwo mógł prze-

mówić do nięj i wytłomaczyć co się stało. Mateczka fasolka była ciągle zemdłona. Ropucha westchnęła ciężko nad niedolą biednych roślin i nad niegodziwością ludzką i odeszła.

Nazajutrz raniutko powróciła znowu. Chwaścik podniósł się trochę przez noc i rozprostował, ale zawsze jeszcze sił nie odzyskał.

— Cóż tu slychać?—zapytała ropucha—czy choć trochę jesteś zdrowszy?

— Niestety—odrzekł chwaścik—nie uskarżałbym się na żadne cierpienia, gdyby mi były zostały te gałazki, na których dojrzewały nasionka. A właśnie miały tu po nie przylecieć niezadługo dwa szczygiełki, bo one bardzo lubią moje ziarneczka. Szkoda, nie zakosztują już tego przysmaku!

I mateczka fasolka uspokoiła się trochę przez noc. Gdy się rozwidniło, spostrzegła, że ogrodniczka nie zerwała najstarszych jęj dźcieci, miała jeszcze na pociechę trzy strączki, a w nich podrastające fasolki. Ogrodniczka musiała je zostawić na nasienie. Mateczka opłakała utracone dźcieci, a żyjące otoczyła najtroskliwszą opieką.

(D. c. n.)

PRZYGODY KLARUNI.

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską

(Dalszy ciąg.)

— Słuchaj, dziewczyno, ozwał się głos dziwny, nie podobny wcale do ludzkiego, wychodzący z ust tego zjawiska.—Wyrzekasz tak bardzo na warunki, w których cię Opatrzność umieściła, zazdrościsz innym stworzeniom, nie zastanawiając się nad tém, czy masz słuszność. Przekładasz lekkomyślnie śmierć nawet nad poddanie się prawom, którym podobne tobie istoty podlegać muszą. Skargi twoje obudziły współczucie królowej wód, przebywającej obecnie w tém jeziorze i wysłała mnie, jedną z podwładnych sobie wieszczek, abym ci oznajmiła, że przychyła się do życzeń twoich, pozwala ci popróbować losu stworzeń, przez ciebie wymienionych, i przybierać postać rybki, jaskółki i wiewiórki z kolei... Staraj się być szczęśliwą i więcej zadowoloną. Powiedz tylko, czy pragniesz spełnienia tęj obietnicy, pytam cię raz jeszcze, dziewczynko?

Wieszczka przestała mówić i zdawała się czekać odpowiedzi. Klarunia zdumiona utkwiała wzrok nieruchomy w dziwną postać, która wśród tryskających fal wody coraz mniej wyraźną się stawała. Gdy w tém z poza drzew

okolicznych doleciał odgłos donośnego wołania pani Miłoszowej:

— Klaruniu, Klaruniu, gdzie jesteś, proszę cię, wracaj natychmiast!

Dziewczynka wstrzęsła się cała, wyciągnęła ręce ku znikającej wieszczce i zawołała:

— Uczyń mnie rybką, ach, rybką czém-prędziej,

Wieszczka skinęła, sukienki Klaruni spadły na murawę nadbrzeżną, zamiast rąk, plecwy, w miejscu nóg, ogon rybi natychmiast się utworzył, a pani Miłoszowa, nadbiegająca w tej chwili, zaledwie dojrzała zapewne małą rybkę, pluskającą swobodnie po chłodnej wodzie jeziora.

II.

Niepojętym jakimś sposobem, Klarunia widziała wszystko, co się działo w tym czasie w domu jej rodziców, jakgdyby tam przebywała niewidzialna. Więc była świadkiem, jak straszna boleść ogarnęła jej rodziców, gdy się ujrzeli pozbawionymi ostatniego dziecka. Domownicy i sąsiedzi, o których życzliwość Klarunia nie starała się nigdy, żalowali jej przecież bardzo, przez współczucie dla osieroconych rodziców. Pani Miłoszowa odjechała, nie mając kogo uczyć. A tymczasem w głębi jeziora mała rybka, zwana płotką, bo takie tam najobficiej się gnieździły, żyła sobie wesoło, igrając od rana do wieczora, i cieszyła się swym nowym stanem niewypodzianie. To była Klarunia. Niktby nie odgadł jasnowłosej, niebieskookiej dziewczynki w drobnym stworzonku, pokrytym łuską złotawego koloru, żywiącém się robaczkami, pracowicie ułowionerni w wodzie, lub okruszynami chleba, jakie czasem umyślnie ręką ludzką rzucone, lub wypadkowo wiatrem naniezione, dostawały się do jeziora. Trudnym było to zdobywanie pokarmu, przecież rybka nie przykrzyła sobie. Tyle tu uciech znajdowała przedtém nieznanym! Odrazu ujrzała się w liczнім gronie swywołających towarzyszek rybek. Pełno tu było różnego gatunku karpia, karasi, płotek, leszczów i tym podobnego drobiazgu, który wesoło igrał sobie w wodzie, przeglądając się w jasnych promieniach słońca.

Nie brak tam było wprawdzie i innych niebezpiecznych dla małych rybek stworzeń. Lecz nasza znajoma długo nie wiedziała o tэм i ba-

wiała się bez obawy, uganiała na wyścigi z drugimi za pochwyceciem muszki, lub komara, ulatującego nad wodą, pryskała srebrnymi kroplami wody tak zabawnie, lub też z wielką ciekawością śledziła przeobrażenia zielonej żabki, rzekotki, która zakopana całą zimę w mule, zjawia się na wiosnę, a której młode lęgną się jako tak zwane głowaczki, kijanki, babki, kształtem więcéj do ryby podobne, a dopiero późniéj postać rodziców przybierają. Z takimi kijankami wiele zabawnych pustot małe rybki wyrabiają i nasza znajoma lubiła się im sprzeciwić. Unikała za to starannie żab wodnych, czarno i żółto plamistych i ropuch szarych lub burych, których szkaradna powierzchowność wstręt w niéj obudzała. Nieraz też gwałtowny skok takiej brzydkiej żaby w jezioro nie mało strachu i popłochu narobił w gronie rozbawionych płotek.

Jednego razu figlarce naszej zachciało się postraszyć spoczywającego w mule lina, którego znana ociężałość nie wzbudzała w niéj wcale obawy. Po cichu skradła się ku niemu i uderzając mocno pletwą, trysnęła mu pełno wody w zaspane oczy. Lin wzdrygnął się cały, a rybka zadowolona, że jej się tak udało, uciekła szybko. Tymczasem nie zwróciła uwagi na przyczepione również do nadbrzeżnych korzeni zwierzątko, które zresztą można było za kamień lub bryłę aką z pozoru poczytać.

(D. c. n.)

Rozwiązania do Nr. 18-go.

Szarady:

Ko — ra — le.

ŁamigłóWKi zgłoskoweJ:

Ludosław

Attyka

Sokół

Krakus

Owady

Nemrod

Odra

Gawel

Izasław.

Laskonogi — Władysław.